

© ARCHIWUM WSCHODNIE

W dniu 14.08 1932 rok w Gudach powiat Lida, woj. nowogródzkie gdzie przebywałem od 1939r razem z rodzicami na gospodarce. Ojciec dostał tą gospodarke jako ochotnik Piłsudskiego. W 17.09 1939 przyszli Rosjanie i w krótkim czasie ojca spisali. W 1940r z 9 na 10 lutego o godz. drugiej może trzeciej zapukali w drzwi i od razu ojca aresztowali. Domagali się aby oddał im pistolet, którego zresztą nie miał, gdyż w momencie wybuchu wojny oddał go jakomże był nadleśniczym. Miał na to pokwitowanie. Postawili go pod ścianą, podparli bagnetem pod łopatki a nam dali 15 minut (mama, ja, siostra, babcia). Babcię siedemdziesięciokilkuletnią staruszkę też chcieli zabrać. Ojciec powiedział im że babcia nie wytrzyma podróży, zresztą nie wiedzieliśmy dokąd nas zabierają. Jeden z Rusali był ludzki i rzekł: babcię zostawiamy, reszta zbierac się. Koło domu stały sanie na które nas załadowano i wywieziono do Bastu, skąd szły już pociągi. Tu wszystkich ładowali w wagony. Staliśmy dwa dni. Masz gospodarke (pisali krewni) od razu zajęli się Rusacy i ci co ojca wydali, że był piłsudczykiem. Zabrali wszystko i wywiezli w nieznanym kierunku. Było to 12 krów, trochę trzody, 20-30-owiec. Wszystko zostało rozgrabione w ciągu jednego dnia. Został pusty dom. W czasie drogi zatrzymaliśmy się w Lidzie (1-2 godziny) gdzie jeden Bajec przyszedł i powiedział: "Jeden ciąławiek za wodój wychadzi". Byliśmy zaplowani i jechaliśmy do Mołodeczna. Tam przedstawili nas na szersze tory i wiezli dalej w nieznanym. Co 2-3 dni dawali tylko wiadro wody na 40-50 osób. Nie było ubikacji więc wyrąbano dziurę w podłodze, zasłonięto kotarą i kto musiał to tam załatwiał potrzeby fizjologiczne. Ojciec mój był już w niewoli w czasie pierwszej wojny światowej w Moskwie i kiedy przekroczyliśmy Tułę, powiedział, że wiozą nas dalej. Kiedy przejechaliśmy Wołgę, wiedział, że wiozą nas na Sybir. Jak długo jechaliśmy nie wiem dokładnie,

Myślę, że około miesiąca. Przyjechaliśmy do ostatniej stacji Asinon. Tam nas rozładowano, gdyż pociąg dalej nie jechał. Były furmanki, kołchoznicy załadowali wszystkich i wywiezli w głąb tajgi syberyjskiej. Noc była najokrutniejsza. Starsi, ci co mieli 15-18-lat nocowali na śniegu, dzieci z matkami starano ulokować w barakach. Ja miałem 8) a siostra 10 lat więc dla nas miejsca nie było. Ojciec miał kożuchy i najpierw nas zakopywał w śnieg, zakrywał kożuchem a później znów zasypywał i od czasu do czasu przechodził i patrzył czy jeszcze żyjemy. Tak było kilka nocy (6 dni). dojechaliśmy w końcu do jakiegoś baraku i tu nam powiedzieli, że to są nasze miejsca, że tu będziemy pracować, że jest to nasza ojczyzna i że nikt stąd nie ucieknie do Polski, chyba, że jako duch, bo Polski już nie ma i nie będzie. Przez następne dwa lata byliśmy w tym baraku, tu ojciec pracował jako drwal. Tu zrzucali drzewa do rzeki Juł a kiedy przychodziła wiosna, woda zabierała te kloce, niosąc je ze sobą do innych rzek. Mama w czasie zimy zamięzła tzw. "lot daroga". Były to wyżłobione koleiny w śniegu i polane wodą po których poruszały się kłkonie z saniami, na których ładowano po 2-3 kubiki drewna. Do pracy nie musieliśmy iść gdy mróz spadł poniżej -50 C, a, że nie było termometrów do zmierzenia temperatury, brało się kubek z wodą i lało do góry. Jeżeli krople wody w drodze na ziemię zamarzały, to znaczyło, że mróz jest większy niż -50 C. Za pracę dawali 0.5kg chleba, dla rodzin które nie pracowały, nic nie przyznawano. Kiedy w 1941 roku powiedzieli, żeby podpisać, że jest się Białorusiem, lub Ukraińcem, to dawali dla "inżyniera" (tego co nie pracował) 100gr chleba. Ojciec nigdy tego nie uczynił i zawsze mówił: jestem Polakiem, a dzieci jeśli wyjdą z tego, to powiedzą jak było. W 1942 roku, kiedy nastąpiło porozumienie pomiędzy Sikorskim a Stalinem dostaliśmy obywatelstwo polskie, mieliśmy prawo wyjechać z tego terenu do Rosji wyłączonej z pasu wojennego i miast pierwszej kategorii.

Do miast tych należały miasta mające powyżej 100 tysięcy mieszkańców. Ojciec chciał jak najszybciej uciekać z tej tajgi, gdzieś do kołchozu, gdzie jest zboże, gdzie zawsze można coś zjeść, ukraść. W 1942r na wiosnę za zarobione pieniądze i papierosy i :karaszki: rosyjskie najęła furmankę i pojechaliśmy do Asina. Tu załadowaliśmy się na transport do Taszkientu, lecz w połowie drogi wysadzili nas i powiedzieli, że w Taszkencie jest "karantin" (tyfus) i obcokrajowcom nie wolno wjeżdżać. Cofneli nas z powrotem do Altajskiego Kraju do Barnaułu. Tu nas wysadzili do jednej szopy, gdzie zachorowałem. Ojciec poszedł szukać pracy, a wrócił na piąty dzień, zabrał nas z Barnaułu i wywiózł do Altajski Kraj-Kraju szynski Rejon-Nowopoliszyński sielsowiet numer 1. Tu nas przyjął prasadziel Gieraszin. Był to Rusko-Polak a jego ojciec prawdopodobnie, że był w powstaniu listopadowym. Wraz z nami przyjechały podobno cztery rodziny: Jakubowski, Żyd z ul. Gęsiej z Warszawy oraz Jaszczuk. Na początku dał nam po wiadrze kartofli i kapusty, kazał się zagospodarować. Mama pracowała przy dojeniu krowy, ojciec był "zaprawiaszczikom" tzn. dowoził paliwo do traktorów. W zimie ojciec woził zboże do kombinatu wojennego a że tam walk nie było, to nikt tych worków nie ważył, liczone tylko tyle, ile wchodziło nasanie. W momencie gdy ojciec chciał coś wykombinować, brał z każdego worka kubek zboża, sprzedawał to w Barnaule, kupował wódkę i przywoził dla Gieraszina, który to lubił, gdyż jak mawiał jak sobie wypije to go żołądek nie boli i dobrze się czuje. W 1943 roku ojca powołali do Wojska polskiego a myśmy tam zostali. Mama i ja pracowaliśmy. Ja nie pracowałem tylko zimą, gdyż chodziłem do szkoły. Gdy przychodziła wiosna rzucałem szkołę i zaczynałem pracować. Dostawałem wtedy 80 rubli a mama 100, to już była duża pomoc dla domu. Kupowaliśmy mleko od kołchoznika i było o wiele wiele lepiej niż tam w tajdze. Tak trwało do 1946 roku. Wtedy w marcu powiedziano nam, że kto chce wracać do Polski niech wyrabia dokumenty. Więc mama pierwsza zgłosiła się, że jest Polką i chce wracać

Dostawaliśmy wtedy listy od ojca, który jako kościuszkowiec osiedlił się na terenach zachodnich, koło Lubuska a my mieliśmy do niego przyjechać. Lecz nam robiono wszelkiego rodzaju przeszkody. Kiedy mama dostała dokumenty okazało się, że ja wraz z nią mam polskie pochodzenie ale moja siostra białoruskie, a to oznaczało, że nie można jej było odjechać. Więc mama musiała znów wszystko załatwiać, siedziała 2-3 dni, aż ją ktoś przyjmie. I tak nie zdążyliśmy na pociąg w pierwszej turze. Wyjechaliśmy z Ałtajskiego Kraju w dzień Konstytucji 3 maja o godzinie 12. Powiedzieli, że kto się zapakuje to pojedzie, a kto nie zdąży to zabieże się następnym pociągiem za 2-3 miesiące. Wyjechaliśmy 3 maja a do Krosna odrzańskiego dotarliśmy 30 maja. Tutaj skierowali nas do ojca.

Chciałbym po krótko powiedzieć gdzie ojciec pracował. W tajdze przy wyrębie drzew (sosny, kiedry, modrzewie). Z tych potężnych drzew odrąbywali sęki, na to bał plan: 2-3 kubiki na osobę. Ojciec był tu brygadzistą. Na wiosnę pracował już przy rzece, do której zrzucono drzewo, trzeba je było odbezpieczyć i wrzucać do wody. Kiedy wyjechaliśmy z tajgi pracował, jak już wspomniałem w gospodarce, gdzie w okresie sianokosów stawiał sterty, dowoził paliwo a zimą wywoził zboże. Tak pracował, aż do momentu powołania go do wojska. Nie dostał się do Andersa, lecz do drugiej armii wojska polskiego do gen. Berlinga. Tak doszedł aż do Berlina. Po wojnie osiedlił się koło Lubuska konkretnie w Górzynie, która była wioską kościuszkowską. Ojciec zdał gospodarstwo i poszedł na rentę. Zmarł w 1979 roku. Mama żyje mieszka przy córce w Zielonej Górze.

Tam gdzie przebywaliśmy w Ałtajskim Kraju, przychodziła polska gazeta, którą czytała mama. Wiem, że pisali o Andersie. Ale kiedy Anders opuścił Rosję nam odebrano obywatelstwa i traktowani byliśmy jak więźniowie. Zmiana nastąpiła gdy powstała druga armia wojska polskiego. W tajdze było nas ok. 2-3 tysięcy w barakach. W pierwszym roku 1940

• zginęły wszystkie dzieci 1-3-lat i staruszkowie, nie wytrzymali tej niewoli. Tam było gro panów, obszarników, policjantów wojskowych. Pamiętam był taki Piłsudczyk sparaliżowany jeszcze z pierwszej wojny, tam umarł i został pochowany. Śmiertelność była ogromna głównie wśród małych dzieci i ludzi powyżej 60 lat. W Altajskim Kraju całe rodziny zapadały na tyfus. Siostra leżała całe 2 miesiące. Ja modliłem się żeby wyzdrowiała, później aby umarła, dzięki Bogu tak się nie stało. Jak z mamą chorowałem to wzięli nas do szpitala. Po drodze padł koń i kołchoznik nas zostawił a poszedł szukać innego. Położyli nas w szpitalu dawali tylko kapustę i chleb. Tak całe trzy tygodnie a na sali 100 osób. Rano panie, które tam pracowały wyciągały spod pryc kogoś już umarłego. Własnymi siłami powróciliśmy do fermy. Mama oczywiście pracowała przy krowach jako dojarka a ja jej pomagałem. Paczki przychodziły głównie od rodziny, tak np. dla mojej siostry (Gdy już była spuchnięta) przyszła paczka od ciotki Podejkowej. Gdyby nie ta pomoc to nie wiem, czy ono by to przeżyła. Grasowała też tu kurzenna ślepotą. Najokropniejszą sprawą było oddawanie moczu. Człowiek gdy już zasnął to nie wiedział kiedy miał mokro. Kto to wytrzymał dzięki Bogu, a kto nie to chorował. Po dzień dzisiejszy żyje w Górzynie pan Kowalski, który od 1940 roku jest ślepy, po chorobie kurzennej na Syberii.

Wracając do nadsyłanych paczek, przychodziły konkretnie z Ameryki, Francji, trudno mi powiedzieć od kogo były. Przydzielane dla Polaków były ogromną pomocą, oprócz żywności, witamin dodawały też otuchy i życia, dla tak głodnego, wychudzonego narodu. Pamiętam, że mama często jeździła do Barnaulu po te paczki. Były w nich: konserwy mięsne, rybne, zupy, kakao, hałwa, tran, czekolada i inne łakocie, których tu prawie nikt nie widział. To była wspólna pomoc.

Szkół polskich tu nie było, lecz kto uważał się za Polaka to rozmawiał po polsku w domu. Natomiast wszędzie obowiązywał język rosyjski. Do szkół rosyjskich kto chciał to chodził, a kto nie, to nie chodził. Ja uczęszczałem do szkoły tylko w okresie pd jesieni do wiosny, tak, że przez 6 lat wygnania skończyłem pięć klas i to niepełne. Ale zaświadczenie jakieś było, że chodziłem np. od września do marca i ukończyłem z pewnym wynikiem. Polskich szkół nie było.

Obóz w którym żyliśmy składał się z 8 baraków (wszystkich zapełnionych) oraz domków Nkw-d-stów. Możliwe, że był to obóz mniej strzeżony przez Nkw-d gdyż szanse ucieczki nie były duże.

w okresie zimy-wielkie mrozy, a brak było ubrań, latem rozlewisky, noczary, brak komunikacji, drog. W baraku znajdowały się brzoze i 50 rodzin z jednej i drugiej strony. Podrodku był żelazny piecyk, który służył do gotowania, jeśli ktoś miał co upotować. Trudno sobie wyobrazić, żeby ktoś mógł wyżywić 50 osób. W pierwsze dni pobytu było bardzo ciasno z chwilą gdy ludzie zaczęli umierać było coraz luźniej. Po czyjeś śmierci wyciągano 1-2-deski i rodziny odgradzały się od siebie. Już w 1942 r można było przechodzić pomiędzy nimi.

Pamiętam takie zdarzenie: moja siostra była chora, z drugiej str. rzeki stał Rusek, który miał sprzedać ojcu mięso nied-wiedzie za obrączkę. Ponieważ ojciec nie umiał pływać, powiedział: weź deskę i przepłynij do pana Zapiańcowa on da tobie mięso. Długo nie zastanawiając się przepłynąłem. To było wspaniałe przeżycie-nie mieliśmy mięso na obiad.

Wtedy jechaliśmy w str. Taszkientu, byliśmy bardzo przemęczeni a mieliśmy kuferek z kory brzożowej, w którym znajdowały się noże, naczynia niezbędne do konsumpcji posiłków. Kuferek trzymaliśmy, ojciec za jedno, ja za drugie ucho-żeby nam nie ukradziono.

A kradli dosłownie spod rąk, My byliśmy bardzo zmęczeni i zasnęliśmy. Kiedy obudziliśmy się w rękach trzymaliśmy tylko uszka, bo skrzynki już nie było. Ktoś ją ukradł. Wyszliśmy na stację nie mając nic oprócz tego co na sobie, spodnie, buty, jakaś czapka czy beret. Trzeba było coś zrobić aby znaleźć coś do jedzenia, aby jakoś przeżyć.